

Gilbert Keith Chesterton: Uparta ortodoksja

Hasło o sztuce dla sztuki mogło mieć sens, gdyby oznaczało, że artyści ograniczą się do świata artystycznego. Oni jednak bezustannie wtrącali się do moralności i religii, wnosząc tam swój niepokój, zmienne nastroje i eksperymentalne tricki typowe dla swej sztuki - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Chesterton - obrońca człowieka fragment Dla Sprawy, zbioru felietonów G. K. Chestertona wydanych przez Wydawnictwo Fronda.

Ktoś mnie poprosił, bym wyjaśnił pewną moją cechę, która, jak się okazuje, uważana jest za dziw niepojęty. Dla zilustrowania sprawy otrzymałem wycinek z bardzo pochlebnego artykułu na mój temat, opublikowanego w amerykańskim piśmie. Artykuł napisany był w duchu niejakiego zdumienia. Na ile pojąłem, uznano za nadzwyczajne, że człowiek może być do tego stopnia zwyczajny.

Istotnie, jestem człowiekiem zwyczajnym, co oznacza, że akceptuję powszechne ludzkie zwyczaje. Zwykłem wierzyć w Stwórcę, zwykłem czuć wdzięczność za to, że istnieje świat, zwykłem uważać życie i miłość za dary zawsze dobre, a małżeństwo i rycerskość za prawa, które słusznie wzięły te dary w karby; zwykłem też podtrzymywać całą resztę normalnych tradycji naszego ludu i naszej wiary. Niektórzy patrzą na mnie jak na raroga, bo wciąż myślę, że trawa jest zielona, choć niedawno odkryty słowacki artysta pomalował ją na szaro, i nadal utrzymuję, że światło dzienne jest całkiem miłe, mimo że trzynastu

litewskich filozofów zasiadło w kręgu i przekleło je uroczyście; zaś w kwestiach bardziej kontrowersyjnych szczerze wolę śluby od rozwodów i niemowlaki od kontroli urodzeń. Nie będę tu po kolei bronił każdego z tych wielce ekscentrycznych poglądów, jakie dzielę z przeważającą częścią ludzkości, dawnej i teraźniejszej. Jeśli ogólnie o nich napomykam, to mam po temu konkretny powód. Otóż, chcę, żeby było jasne jak słońce, że moja sympatia dla tych sentymentów nie jest ani trochę sentymentalna. Ani mi w głowie szczebiotać o nich z ckliwą afektacją. Więcej nawet - rzucam Czytelnikowi wyzwanie, by spróbował wytropić w tym eseju ślad jednej łyzy wzruszenia. Moje poglądy nie wynikają ze wzruszeń: są rozważne, nie romantyczne.

Dokładnie na odwrót ma się sprawa z poglądami sceptyków. To właśnie sceptycy są sentymentalni. Współczesna "młodzieżowa rewolucja", wszystkie te slogany o postępie i kroczeniu z duchem czasów, to po większej części zwyczajny snobizm, który przybrał formę kultu Młodości. Niektórzy ludzie z mojego pokolenia z upodobaniem głoszą, że należą do Stronnictwa Młodzieży i bronią wszelkich młodzieżowych mód. Ja tego nie robię, z tych samych powodów, dla których nie farbuję włosów ani nie ściskam mej tuszy gorsetem. Nawet jednak gdy kult młodości nie przybiera postaci aż tak żałosnej, współczesne hasła, że należy robić wszystko dla dobra młodych, że liczy się tylko nadchodzące pokolenie, stanowią przejaw czystego sentymentalizmu. Oczywiście, w granicach rozsądku jest to również przejaw zdrowych uczuć. Normalni ludzie z przyjemnością patrzą, jak młodzież korzysta z życia. Kiedy jednak czynimy z tej przyjemności zasadę postępowania, stajemy się sentymentalni. Skoro pragniemy największego możliwego szczęścia dla największej możliwej liczby ludzi, jest ewidentne, że największa aktualnie liczba ludzi to zawsze raczej ci pomiędzy późną, trzydziestką a siedemdziesiątką niż ci pomiędzy siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Poświęcać wszystko dla młodych to

zupełnie jakby pracować wyłącznie na rzecz bogatych. Młodzież stanie się klasą uprzywilejowaną, a reszta z nas - snobami lub niewolnikami. Co więcej, młodzi ludzie i tak nawet w najgorszych warunkach znajdują okazję do zabawy. Jeżeli naprawdę chcemy nieść światu pociechę, byłoby dużo rozsądniej nieść ją starcom. Oto, co rozumiem przez stawianie czoła faktom. Właśnie dlatego wciąż wierzę w większość tradycyjnych poglądów: bo są to fakty. Mógłbym tu dać wiele innych przykładów, chociażby rycerskość wobec kobiet. Jest to realistyczny, a nie romantyczny, pogląd na sprawy płci. Ba, jest to pogląd do tego stopnia realistyczny, że nie zawsze uchodzi wskazywać realia, na których się opiera.

O ile tak zwani zwolennicy wolnej myśli są już wystarczająco sentymentalni, o tyle tak zwani zwolennicy wolnej miłości są sentymentalni w sposób jaskrawy i jawny. Widać to po ich słabości do eufemizmów. Frazesy, w których się lubują, są zawsze wygładzone stosownie do potrzeb języka prasowego. Ci ludzie mówią o wolnej miłości, rozumiejąc przez to coś całkiem odmiennego, co należałoby prędzej nazwać wolną rozpustą. Jako sentymentalisci wolą jednak mizdrzyć się i gruchać nad słowem "miłość". Z uporem powtarzają frazes o kontroli urodzeń, mając na myśli brak kontroli i mniej urodzeń. Moglibyśmy rozpylić ich na atomy, gdybyśmy byli tak rozwiązli w mowie, jak niemoralni oni są w koncepcjach. Jacy są w dziedzinie moralności, tacy są też i w dziedzinie religii. Ich twierdzenie, że agnostycyzm szerzy się wskutek rozwoju nauki nie jest prawdą, lecz zaledwie nieporozumieniem, powstałym z używania łaciny i greki zamiast prostej angielszczyzny. "Nauka" to łacińskie słowo oznaczające wiedzę²¹. "Agnostycyzm" to greckie słowo oznaczające niewiedzę. Nie jest bynajmniej jasne samo przez się, że wiedza z natury swej prowadzi do niewiedzy. A właśnie z niewiedzy wynika przeświadczenie, że wolna myśl osłabia wiarę w Boga. To świat realny, który widzimy na własne

oczy, składa się najwyraźniej z elementów celowo dopasowanych i dostosowanych do siebie nawzajem. To tylko mętne bajania próbują to tłumaczyć za pomocą tezy, że elementy "lepiej dostosowane" mają automatyczną przewagę. Dzisiejsi zwolennicy ewolucji, nawet jeśli wciąż trzymają się darwinizmu, bynajmniej nie udają, że ich teoria wyjaśnia wszelkie odmiany i adaptacje gatunków. Ci lepiej zorientowani są raczej skłonni ratować Darwina kosztem jego teorii; ci niezorientowani nadal wątpią i negują. Doprawdy typowe, że ich główny mit nosi nazwę Brakującego Ogniwa. Jedyne, co tak naprawdę wiedzą o swojej własnej argumentacji, to że w pewnym miejscu zionie w niej luka. Warto by spytać, czemu baśń o ewolucji zaczęła żyć własnym życiem, zyskując tak wielką władzę nad umysłami. Zaraz zaproponuję tu odpowiedź. Otóż, jeśli o mnie chodzi, nigdy nie zmieniałem zdania na temat ewolucji. Rzecz w tym, że ludzie, którzy zaakceptowali tę teorię, też nie zmienili zdania. Zmienili tylko opinię niemodną na modną.

Bywalcy świata, zwanego światem intelektualnym, dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy wielbią intelekt oraz na tych, którzy go używają. Zdarzają się wprawdzie wyjątki, lecz na ogół nie są to ci sami ludzie. Ci, którzy używają intelektu nie wielbią go, bo zbyt dużo o nim wiedzą. Ci, którzy wielbią intelekt, nie czynią z niego użytku, co łatwo poznać po opiniach, które na jego temat wygłaszają. Za ich sprawą myli się dziś intelekt z intelektualizmem; a najwyższy stopień tej pomyłki stanowi coś, co w wielu krajach nazywa się warstwą inteligencji, we Francji zaś - Intelektualistami. Są to kluby i koterie osób rozprawiających głównie o sztuce i książkach - zazwyczaj o sztuce awangardowej i książkach niedawno wydanych - tudzież o muzyce, o ile jest to muzyka współczesna, zdaniem niektórych podobna raczej do kociej muzyki. Pierwsze, co należy o nich rzec, to że słowa Carlyle'a na temat świata odnoszą się w pierwszym rzędzie do świata

intelektualnego: składa się on przeważnie z głupców. Ba, przyciąga głupców z magnetyczną siłą, nęci ich miłym ciepłym, jak ogień na kominku nęci koty. Jako człowiek normalnie i przeciętnie bezrozumny często bywałem w tym towarzystwie i odkrywałem tam, w zadziwieniu, głupców tak bezgranicznie głupich, że ich głupoty nie sposób ogarnąć wyobraźnią; ludzi posiadających ledwo tyle szarych komórek, by z trudem zasłużyć na miano półgłówków. Fakt, że obracają się w tym środowisku, rozświetlał ich jednak wewnętrzną aurą. Przekonani, że nurzają się w intelektualnej atmosferze, ubóstwiali ją z zapalem, jakby oddawali cześć nieznanemu bogu. Mógłbym opowiedzieć wiele anegdot z tego swatka. Pamiętam szacownego dżentelmena z bardzo długą brodą, który, zdawać by się mogło, mieszkał w jednym z takich klubów. Od czasu do czasu miał zwyczaj podczas rozmowy unosić rękę, jakby uciszając interlokutora, po czym rozpoczynał wypowiedź od słów: "Oto Myśl". Następnie oznajmiał coś, co brzmiało, jakby wół znienacka przemówił ludzkim głosem. Pewien mój znajomy, który długo cierpiał w milczeniu (o ile pamiętam, był to pisarz Edgar Jepson) nie wytrzymał w końcu i jęknął rozpaczliwie, już u kresu sił: "Na litość Boską, człowieku, chyba nie nazywasz tego myślą?". Zaręczam jednak, że na tle innych myślicieli, zwłaszcza wolnomyślicieli, dżentelmen ów bynajmniej się nie wyróżniał.

Istnieje czasem wyjątek od tej reguły. Inteligencja zdarza się nawet wśród intelektualistów. Bywa, że jakiś naprawdę zdolny człowiek ma słabość do pochlebstw, choćby i pochlebstw głupców, woli zatem mówić to, w czym głupcy widzą mądrość, niż to, w czym jedynie mądrzy ujrzeliby prawdę. Takim człowiekiem był Oskar Wilde. Kiedy powiedział, że kobieta niemoralna to jedyna kobieta, jaką mężczyzna nigdy się nie znudzi, rzucił frazes tak bezpodstawny, że prawie bezsensowny. Dobrze wiadomo, że mężczyzna może się znudzić całym tabunem niemoralnych kobiet, zwłaszcza jeśli sam jest niemoralnym

mężczyzną. Krótko mówiąc, była to "Myśl"; coś, co wygłasza się z uniesioną ręką do ludzi, którzy w ogóle nie potrafią myśleć. W ich biednych, zamulonych mózgach kołatało się jakieś nieokreślone skojarzenie między dowcipem a cynizmem, toteż nigdy goręcej nie oklaskiwali dowcipu Wilde' a, jak wówczas gdy Wilde bywał cyniczny nie będąc dowcipny. Kiedy jednak powiedział, że "cynik to ktoś, kto zna cenę wszystkiego, a nie zna wartości niczego" poczynił (w doskonałej epigramatycznej formie) spostrzeżenie, które naprawdę coś znaczyło. Dla niego znaczyłoby tyle, co natychmiastowa detronizacja, gdyby ludzie, którzy wyłącznie za cynizm wynieśli go na tron, w ogóle byli w stanie je zrozumieć.

W tym właśnie świecie intelektualnym, z jego zastępami głupców, paroma błyskotliwymi kpiarzami i nielicznymi mędrkami, bezustannie wre ferment modnego buntu i modnego sceptycyzmu. To stąd płynie tak zwana miażdżąca krytyka społeczna; choć, jeśli bliżej się jej przyjrzeć, nowy krytyk jest zazwyczaj miażdżony przez jeszcze nowszego na długo nim sam zdołałby coś zmiażdżyć. Ilekroć ludzie oznajmiają uroczyście, że świat buntuje się przeciw religii, prywatnej własności, patriotyzmowi i małżeństwu, mają na myśli, że buntuje się przeciw nim ten właśnie świat. Jest on zresztą permanentnie zbuntowany przeciw wszystkiemu. Żyje w stanie ciągłego podniecenia, lecz ma po temu powód i może tłumaczyć się czymś więcej niż tylko głupotą i ważniactwem. Powód ten jest na tyle istotny, że każdy, kto rzeczywiście chce posługiwać się myślą, a zwłaszcza wolną myślą, powinien się nad nim przez chwilę głęboko zastanowić. Otóż, wszyscy ci ludzie są szalenie przejęci studiowaniem Sztuki. Wyniesieni w ten sposób na wyżyny, spadają następnie w otchłań bredni i desperacji, ponieważ próbują przenieść swe pojęcia o sztuce do sfery moralności i filozofii. Jest to przykry błąd w rozumowaniu - ale bo też, jak wyjaśniłem, intelektualiści nie są przesadnie intelektualni.

Sztuka, w wymiarze prądawnym i elementarnym, istnieje, aby demonstrować chwałę Bożą. Przełożone na język psychologii oznacza to, że sztuka ma w ludziach budzić i podtrzymywać zdolność zadziwienia. Dzieło sztuki, obierając za temat obłok, roślinę czy ludzki charakter, osiągnie cel wówczas, gdy odbiorca powie: "Widziałem to już tysiąc razy i dopiero teraz zobaczyłem". Rzecz jasna, różnorodność podejścia do tematu jest dla artysty nie tylko naturalna, ale wręcz niezbędna.

Artyści zmieniają metodę tak zwanego ataku, bo do pewnego stopnia ich praca polega na tym właśnie, by atakować z zaskoczenia. Muszą rzucać na obiekt coraz to nowe światło, więc nic dziwnego, że bywają to i promienie ultrafioletowe, i czarny cień obłędu lub śmierci. Ale gdy artysta rozciąga swój ekscentryczny eksperyment na świat rzeczywisty, żarty się kończą. To zupełnie jakby rzeźbiarz, nieobecny duchem, wbił dłuto nie w marmurowe popiersie, lecz w łysą głowę dostojnego modela. A tacy anarchiczni artyści cierpią ciut jakby na nieobecność Ducha. Ale, dla uproszczenia, wyjaśnijmy to na bardziej praktycznym przykładzie.

Wielu współczesnych prycha ze wzdargą mówiąc o "cukierkowej sztuce", nudnej i przesłodzonej. Przypuśćmy, że spoglądamy akurat ze smutkiem na bombonierkę po cukierkach (ze smutkiem, bo nie muszę chyba wyjaśniać, że bombonierka jest niestety pusta). Widzimy wyrysowany na wierzchu obrazek. Obrazek ów, poprzez leciutką mgiełkę, przedstawia młodą damę z długimi złocistymi lokami, stojącą na balkonie i trzymającą różę, rozświetloną przez blady promień księżyca, padający usłużnie akurat w to miejsce. Należy jeszcze przyozdobić dzieło detalami; dama powinna kurczowo ścisnąć list,

ostentacyjnie unosić dłoń z zaręczynowym pierścieniem lub w omdlewającej pozie machać na pożegnanie dżentelmenowi w dalekiej gondoli; może to być cokolwiek, co tylko przesyje bólem wrażliwą duszę krytyka. Cierpię razem z krytykiem, ale się z nim nie zgadzam.

Otóż, co tak naprawdę mamy na myśli, gdy oznajmiamy, że nawet wzmocnieni cukierkami nie jesteśmy w stanie znieść tak głupiego obrazu lub tak kiczowatego tematu? Mamy na myśli, że możliwy jest nadmiar czegoś dobrego; można zjeść za dużo cukierków. Cukierkowy obraz to nie obraz sam w sobie; to obraz wyobrażenia. W gruncie rzeczy nie przedstawia dziewczyny, róży ani promienia księżyca, lecz niezliczone inne obrazy. Artyści zawsze kopiują artystów, i tak oto temat ciągnie się w przeszłość aż do pierwszych sentymentalnych dzieł romantycznych.

Ale róże nie kopiują róż. Promienie księżyca nie naśladują się nawzajem. I choć jedna kobieta może zewnętrznie imitować drugą, jej kobiecość nie została skopiowana z żadnej innej kobiety na świecie. Jako byty realne, każda kobieta, każda róża i każdy promień księżyca są po prostu sobą. Załóżmy, że scena, którą opisano wyżej, nie jest namalowana, lecz prawdziwa. Kwiat jest niewątpliwie świeży, blondynka niewątpliwie młoda. Róża, jak to róża, pachniałaby równie słodko pod inną nazwą albo i w ogóle bez nazwy. Gdyby żywa, prawdziwa dziewczyna wyszła na balkon i stanęła tam w takiej akurat pozie, trzymając taki akurat okaz botaniczny (co nie wydaje się szczególnie prawdopodobne), z pewnością miałyby po temu jakiś powód. My zaś, wiedząc że scena jest rzeczywista, nie moglibyśmy nią wzgardzić jako powtarzającą się sztamą. Dopóki zatem myślimy o kwiatach jako o czymś, co produkuje się taśmowo dla pieniędzy, jako o jednostajnych i komercyjnych ornamentach, czujemy, że są to sztuczne

kwiaty; czujemy, że masowo kopiowany promień księżycyca to tylko bujda księżycowa. Chętnie powitalibyśmy najdzikszą nawet odmianę w tej nudnej monotonii. Toteż i podziwiamy artystę, malującego czarne róże, bo gdyby nie on, gotowiliśmy zapomnieć, że róże są pąsowe; podziwiamy go, gdy maluje zielony księżyc, bo w ten sposób wyraziście zdajemy sobie sprawę, że księżyc ma barwę odrobinę subtelniejszą od białej. Lecz prawdziwy księżyc zawsze zostaje taki sam; róża pozostaje różą. Nie oczekujemy, by się odmieniły. Nie czekamy, znudzeni, na zmianę praw natury. Nie spodziewamy się też, że kobiety zmienią zdanie na temat róż albo na temat zobowiązań wynikających z noszenia zaręczynowego pierścionka. Te kwestie, kiedy są realne, pozostają poza zasięgiem artystycznych wizji, dotyczących ich fikcyjnych odpowiedników. Możemy sobie malować księżyc w kolorze zielonym czy też księżyc niebieski w ciapki lilaróż, a on i tak nadal będzie władał przypływami. A człowiek, który wyobraża sobie, że rewolucje artystyczne odnoszą się również do moralności, mógłby równie dobrze powiedzieć: "Widziałem tyle ckliwych róż na bombonierkach, że nie wierzę, by róże mogły rosnąć w ziemi".

Krótko mówiąc, to, co krytycy zwą romantyzmem, jest w gruncie rzeczy jedyną formą realizmu. Jest też jedyną formą racjonalizmu. Im intensywniej człowiek będzie ćwiczył umysł na realiach, tym jaśniej ujrzy, że realia pozostają niemal bez zmian, choć ogromnie się różnią ich przedstawienia czy wyobrażenia. A tylko wyobrażenia bywają powtórzeniami. Wrażenia zawsze są szczerze; jednostki są zawsze jednostkowe i indywidualne. Jeśli realnie istniejąca dziewczyna zakocha się, będzie przeżywać coś, co jest stare jak świat, lecz wcale nie nudne. Jeśli zerwie kwiat z krzewu różanego, będzie trzymać w dłoni bardzo stary symbol, lecz bardzo świeżą różę. Każdy człowiek o jasnym umyśle potrafi ujrzeć rzeczy takimi, jakie są, i przez to potrafi pojąć, że rzeczy są permanentnie ważne takie, jakimi są. Ale gdy jego umysł jest

zmącony przez aktualne trendy i przelotne estetyczne mody, ujrzy jedynie, że coś jest podobne do obrazka na pudełku z cukierkami, zamiast, jak należy, do obrazu w Galerii Postfuturystycznej. Na ile dotrze do niego, że ludzie są prawdziwi, na tyle zrozumie, że są tak naprawdę romantyczni. Na ile będzie rozmyślał o malarstwie, poematach i stylach dekoracyjnych, na tyle też będzie sądził, że romantyzm to tylko fałszywy, przestarzały styl. Będzie postrzegał ludzi jako imitacje portretów, podczas gdy prawdziwi ludzie nie są imitacjami. Są tylko sobą - tym, czym zawsze będą. Róże nie tracą tajemniczego uroku, choćby nie wiadomo ile róż płowiało na tanich tapetach. Zakochanie pozostaje cudowne i fascynujące, chociażby słowo "miłość" zdzierało się na strzępy na tandetnych walentynkowych pocztówkach. Kto pojmuje ten fakt, żyje w świecie faktów. Kto widzi tylko banalność tapet i walentynek, żyje w świecie fikcji.

Najważniejsze w całym buncie sceptyków jest to, że ma on źródło właśnie w fikcji. Narodził się wśród intelektualistów, wiecznie rozprawiających o powieściach i sztukach teatralnych zamiast o normalnych ludziach. Chcieli mieć "prawdziwe życie" na scenie, a nigdy nie dostrzegli go na ulicy. Upajali się realizmem swej literatury, podczas gdy ostatnie ślady realizmu znikają z ich dyskusji, gdy je porównać z rozmowami zwykłych ludzi. Myśleli w kategoriach bezustannego eksperymentu, ciągłej zmiany podejścia. To rzecz naturalna u artysty poszukującego efektu (jak i u fotografa, z zaaferowaniem skaczącego wokół kamery i wciąż zmieniającego ogniskową). Nie są to jednak kategorie myślenia stosowne dla reguł i stosunków społecznych. Kiedy intelektualiści zaczęli eksperymentować z moralnością i metafizyką, stworzyli serię szalonych światów, zamiast po prostu stworzyć serię szalonych i nikomu nie wadzących dzieł malarskich. Dzieła malarskie mają to do siebie, że usiłują uchwycić pewien ulotny aspekt rzeczywistości, spojrzeć pod pewnym kątem, w

pewnym świetle, czasem tak nagłym i krótkim, jak światło błyskawicy. Kiedy więc z artystów zrobili się anarchiści, usiłowali oświetlać błyskawicami całe społeczeństwo i cały kosmos. W efekcie otrzymali nie realizm, lecz koszmar. Ponieważ taki czy inny malarz w takim czy innym celu namalował pąsowe róże jako czarne, pesymista wyciągał wniosek, że pąsowa róża życia i miłości jest dokładnie tak czarna., jak ją odmalowują. Ponieważ jakiś artysta, patrząc pod jakimś kątem, uchwycił chwilową impresję, że księżyc jest zielony, filozof z powagą zakładał na nos zielone okulary i oświadczał, że wedle niepodważalnych odkryć naukowych księżyc musi być cały przeżarty przez wijące się robactwo, ponieważ jest zrobiony ze spleśniałego sera.

Reasumując, hasło o sztuce dla sztuki mogło mieć sens, gdyby oznaczało, że artyści ograniczą się do świata artystycznego. Oni jednak bezustannie wtrącali się do moralności i religii, wnosząc tam swój niepokój, zmienne nastroje i eksperymentalne tricki typowe dla swej sztuki. Każdy, kto ma mocne poczucie realizmu, dostrzeże, jak bardzo było to oderwane od życia. Prawa, rządzące życiem, miłością i stosunkami międzyludzkimi, jakie by nie były, nie mogą podlegać zmianom wraz ze zmianą mody poetyckiej, tak jak nie podlegają zmianom, kiedy przychodzi moda na inny krój spodni. Nie wyrzuca się głowy na śmietnik, bo nastał nowy fason kapeluszy - to chore. Oto fakty, realne niczym przypyływ albo gleba w ogrodzie. Nikt jeszcze nie zdołał pozbyć się przypyływów zarzucając księżycowi sentymentalizm. Nikt nie pozbył się gleby oznajmiając, że róże są staromodne. Ośmielę się zatem zauważyć, bez zbędnego samochwalstwa, że jeśli nie odcinam moich korzeni, tkwiących głęboko w pewnych tradycjach, to nie dlatego, abym był sentymentalny czy bodaj romantyczny, ale dlatego, że jestem realistą. A jako realista rozumiem, że moralność nie może zmieniać się stosownie do mody, tak jak ekspresjonizm nie mógł oznaczać budowania domów mieszkalnych o ekspresyjnych kształtach.

Nie zmieniłem poglądów na tę kwestię, bo nigdy nie widziałem powodu, by je zmienić. Albowiem człowiek, który kieruje się rozumem zamiast pozwalać unosić się przez tłum, niechybnie zauważy, że w każdej epoce pozostają aktualne te same argumenty przemawiające za tym, że świat urządzony jest celowo, a co za tym idzie, że urządził go jakiś Umysł. Tak powie człowiek myślący. Człowiek bezmyślny przyzna, bo ma takie niejasne wrażenie, że w naturze istnieje pewna celowość, ale zaprzeczy istnieniu Umysłu, bo tak dziś wygląda łatwizna umysłowa.. W naszych czasach, równie stanowczo jak w każdym innym, możemy uznać za pewnik, że życie to dar Boży, bezmiernie cenny i bezmiernie ceniony; łatwo to udowodnić, przystawiając pistolet do głowy pesymisty. Tyle tylko, że żyje obecnie pewien typ ludzi, którzy nie lubią zaprzętać sobie głowy myśleniem i jeśli spytać ich o coś jasno i konkretnie, nie spodoba im się to niemal równie bardzo, jak przystawiony do głowy pistolet. Zdrowy rozsądek mówi, zgodnie z doświadczeniem życiowym, że romantyczna miłość jest typowa dla młodości, po czym rozwija się w naturalny sposób w małżeństwie i rodzicielstwie, w miarę jak człowiek dojrze. Ile by bzdur o tym nie pisać, ile by nie popuszczać wodzy prywatnym pretensjom czy prywatnej swobodzie seksualnej, ta społeczna prawda i tak się nie zmieni, o czym wie każdy, kto ceni sobie prawdę choćby i pod postacią stereotypu. Ale człowiek, który nie pojmuje, że coś może być prawdziwe mimo że jest stereotypowe, to pospolita ofiara słów i skojarzeń słownych. To idiota, który doprowadzony do szału przez papierowe róże nie chce wierzyć, że prawdziwa róża ma korzenie, ani nawet (póki nie odkryje tego z bolesnym okrzykiem profana) że ma kolce.

Prawda przedstawia się tak, że dzisiejszy świat przechodzi kryzys rozumu raczej niż moralności. Ludzie ustalają swe poglądy w drodze skojarzeń, bo wolą ich nie ustalać w drodze argumentów. Niemal

wszystkie rozmowy o postępie i zacofaniu sprowadzają się w praktyce do rozchichotanej ekscytacji modą. Najnowocześniejsi z nowoczesnych gapią się na portret damy w krynolinie z dokładnie takim samym bezmyślnym uśmieszkiem, z jakim wieśniacy gapią się na obcego w miastowym kapeluszu. Traktują przodków z innego stulecia całkiem tak samo, jak najbardziej ograniczeni wyspiarze traktują cudzoziemca z innego kraju. Są umyślowo niezdolni, by wykroczyć poza stwierdzenie, że nasze dziewczęta noszą krótkie włosy i krótkie spódnice, podczas gdy ich głupie praprababki nosiły loki i suknie do ziemi. To wystarczy, by zaspokoili swą potrzebę kpiarskiej wyższości; prosty z nich ludek, trochę jak dzicy. Przypominają londyńskiego ulicznika, który trafił do wojska i pokłada się ze śmiechu, bo francuscy żołnierze mają czerwone spodnie i niebieskie bluzy, podczas gdy żołnierze angielscy ubrani są, jak przystoi, w niebieskie spodnie i czerwone bluzy. Nie zmienię poglądów, aby dogodzić ludziom rozumującym w taki sposób. Bo i po co miałbym zmieniać?

Gilbert Keith Chesterton

fragment książki G.K.Chestertona *Dla sprawy* wydanej przez Wydawnictwo Fronda (s.61-76)